

Opowieść wigilijna



WYDANIE DWUJĘZYZCZNE

Charles Dickens

A Christmas Carol

*

Opowieść wigilijna



Pobierz
darmowy ebook



Ucz się
z Wymownią

Ilustracje w treści: John Leech
Ilustracja na okładce: cocoparisienne
ISBN 978-83-952777-9-5

Wydawnictwo Wymownia: www.wymownia.pl

Polska wersja językowa w tłumaczeniu C. Niewiadomskiej
Angielska wersja językowa zgodna z wydaniem z roku 1843

[Kup książkę](#)

Opowieść wigilijna

I.

W KANTORZE.

Marley umarł. Umarł przed 7 laty. Nikt o tem nie mógł wątpić, gdyż akt jego śmierci podpisali doktor i proboszcz, pisarz parafialny, a co najważniejsza, wspólnik jego Scrooge, którego podpis, zdaniem wszystkich kupców i bankierów, był pewniejszą gwarancją, niż najlepsza kasa ogniotrwała.

Scrooge i Marley byli wspólnikami od niepamiętnych czasów. Po śmierci Marleya Scrooge został jego spadkobiercą i wykonawcą testamentu, a jak przez całe życie był jedynym jego towarzyszem, tak po śmierci sam jeden szedł na cmentarz za jego trumną.

Nie należy sobie tylko wyobrażać, że ten wypadek zgnębił przykładowego wspólnika lub zamącił mu spokój umysłu, — bynajmniej, — właśnie podczas pogrzebu obmyślił plan doskonałego interesu, który przyniósł mu piękny dochód.

Piszemy o tem wszystkiem jedynie dlatego, aby czytelnik wiedział i pamiętał, że Marley dawno umarł, gdyż inaczej cała historia, którą opowiedzieć zamierzam, nie miałaby w sobie nic nadzwyczajnego.

Scrooge nie starł z szyldu nazwiska wpólnika i nade drzwiami kantoru błyszczał zawsze napis: "*Scrooge et Marley*". Dom handlowy znany był wszystkim pod tą firmą. Mniej świadomi interesanci nazywali niekiedy pana Scrooge, Marleyem; on odpowiadał na oba nazwiska — nic mu to nie szkodziło.

A ścisnął też wszystko w garści ten pan Scrooge, stary grzesznik; był to skąpiec nad skąpcę, umiał on wyrwać, wykręcić, wydusić, a nigdy nie wypuścić, co raz dostał w swoje pazury. Twardy i ostry, jak krzemień, był przytem milczący i zamknięty w sobie. Lodowaty chłód serca skurczył mu oblicze, ścisnął spiczasty nos, pomarszczył czoło, zapalił oczy zimnym blaskiem stali, zacisnął mocno wążkie, sine usta. Sztywna postawa, głos suchy i skrzypiący, białawy szron na głowie, brwi i podbródek spiczasty, czyniły go podobnym do ostrego gwoźdźcia. Wszędzie wnosił z sobą lodowatą atmosferę, studził swą obecnością nawet kantor podczas upałów.

Upał i zimno zresztą nie wywierało nań żadnego wpływu. Gorąco letnie nie grzało go, mrozy nie mroziły. Żaden wiatr nie był od niego ostrzejszy. Niepogoda nie mogła mu dokuczyć; najstraszliwsze ulewy, śniegi, grad, zawieruchy, nie zwracały jego uwagi. Było mu to wszystko jedno, byle interes szedł dobrze. Nikt też nie zatrzymał go nigdy na ulicy, aby mu powiedzieć z uśmiechem: "Kochany Scrooge, jak się masz? Co tam słysząc? Przyjdźże nas odwiedzić?" Nigdy żebrak nie poprosił go o jałmużnę, dziecko nie zapytało o godzinę, ani

zbląkany przechodzień o kierunek drogi. Zdawało się, że znają go psy, prowadzące niewidomych, ponieważ gdy nadchodził, odciągały swych panów, poruszając znacząco ogonem, jakby chciały powiedzieć: "Biedny mój panie, lepiej nie widzieć czasem, niż mieć oczy!"

Lecz cóż to obchodziło p. Scrooge? On tego właśnie pragnął. Wydeptać sobie ścieżkę obok szerokiego gościńca, którym cały świat biegnie, i ostrzedz przechodniów, aby mu nigdy nie włączili w drogę, było jego zadaniem.

Pewnego dnia, a był to najpiękniejszy ze wszystkich dni roku, wigilia Bożego Narodzenia, stary Scrooge, bardzo zajęty, siedział w kantorze. Zimno było dotkliwie i przenikające, czas mglisty; Scrooge mógł wyraźnie słyszeć, jak przechodnie chuchali w palce, rozcierali ręce, tupali o bruk, aby się cokolwiek rozgrzać. Na wieży wybiła trzecia, a noc była już zupełna. Cały dzień było ciemno; — światła, ukazujące się w oknach, wyglądały, jak rude plamy na czarnem tle gęstego, dotykającego prawie powietrza. Przez wszystkie szpary i dziurki od klucza mgła wciskała się do wnętrza domostw, a w najciaśniejszej uliczce przeciwległe budynki wyglądały, jak widma.

Drzwi od kantoru Scrooge'a były otwarte, aby mógł mieć na oku buchaltera, siedzącego w małej sąsiedniej izdebce, gdzie przepisywał listy. W pokoju Scrooge'a tłał małeńki ogień — lecz w izbie buchaltera na garstce popiołu tłał zaledwie jeden węgielek. Nie śmiał biedak położyć więcej, ponieważ kosz z węglami stał w pokoju pryncypała (1), a ilekroć poważił się wniknąć z łopatką po węgle, Scrooge wyrzucał mu, że go rujnuje, i groził, że będzie go musiał oddalić. To też nieszczęśliwy buchalter zawiązał na szyi wełniany szalik i próbował ogrzać się przy świecy.

— Wesołych świąt, wujaszku — niech cię Bóg błogosławi! — ozwał się nagle głos młody i dźwięczny. Był to głos siostrzeńca Scrooge'a, który wpadł niespodzianie, zacierając ręce.

— Ba — rzekł Scrooge — głupstwo!

— Święta Bożego Narodzenia! wujaszku, to nie głupstwo. Nie chciałeś tego zapewne powiedzieć?

— Owszem. Tak jest — rzekł Scrooge. — Wesołych świąt! Jakiem prawem masz być wesoły? Co za powód, abyś się oddawał rujnującej wesołości? I tak jesteś dosyć ubogi.

— No, no! — odpowiedział siostrzeniec — jakimże prawem ty, wujaszku, jesteś smutny i kwaśny? Dlaczego się zatapiasz w tych nudnych rachunkach? I tak jesteś dosyć bogaty.

— Głupstwo — zawołał Scrooge, nie mając lepszej odpowiedzi — głupstwo!

— Nie gniewaj się, wujaszku!

— Jakże się tu nie gniewać, żyjąc na świecie pełnym głupców i takich, jak ty, warjatów? Wesołych świąt! Idźcież do licha z waszą wesołością! Czemże jest dla was Boże Narodzenie? Chwilą płacenia długów i rachunków, na które często nie macie pieniędzy. Musi wam przypominać, że jesteście o rok starszymi, a nie bogatszymi o szeląg. Po sprawdzeniu ksiąg handlowych, przekonywacie się w tym dniu dowodnie, że w ciągu upłynionych dwunastu miesięcy żaden interes nie przyniósł wam zysku. Gdyby to zależało ode mnie —